TYGODNIK WILEŃSKI

Ner 62.

Dnia 21. Stycznia 1817 roku. v. s.

SPEKTATORA ANGIELSKIEGO N. 558.

Qui fit, Maecenas, ut nemo, quam sibi sortem
Seu Ratio dederit, seu Fors obiecerit, illa
Contentus vivat? laudet diversa sequentes?
O! fortunati mercatores, gravis annis
Miles ait, multo jam fractus membra labore.
Contra mercator, navim jactantibus austris,
Militia est potior: quid enim? concurritur: horae
Momento cita mors venit, aut victoria laeta.
Agricolam laudat juris legumque peritus,
Sub galli cantum consultor ubi ostia pulsat.
Jlle datis vadibus qui rure extractus in urbem est,
Solos felices viventes clamat in urbe.
Caetera de genere hoc (adeo sunt multa) loquacem
Delassare valent Fabium. Ne te morer, audi
Quo rem deducam. Si quis deus, En ego, dicat,
Jam faciam quod vultis: eris tu, qui modo miles,
Mercator: tu, consultus modo, rusticus: hinc vos,
Vos hinc mutatis discedite partibus. Eja,
Quid statis? Nolint. Atqui licet esse beatis.

Hor. Sat I. 1. 1. seqq.

Naśladowanie Naruszewicza.

Czym się dzieie Meceno, że każdy w swym stanie,
Czy go sam sobie zrządził przez wolne obranie,
Czy mu ślepy wyrzucił los z niepewney szali,
Krzywém nań patrząc okiem inne tylko chwali?
Szczęśliwyś Panie Kupiec, mówi kresowaty
Wyga żołnierz, ciężkiemi obarczony laty.
Przeciwnie Kupiec gdy mu wicher łamie sztaby;
Boday to człek za młodu mieszkał między draby!
Wielkaż to! nuże dziatki, do flinty, do szabli
W punkcie albo zwyciężył, lub go wzięli diabli.
Zyć na wsi, wola iurak, to to sprawa święta!
Kiedy o kuro-poiu słyszy pacyenta,
A on z fascykułami u drzwi mu się szasta,
Lecz i wieśniak, gdy go sąd wyciągnie do miasta,
Ze dał za niesłownego porękę sąsiada,
Sami tylko mieszczanie szczęśliwi powiada.
Chcąc zliczyć iak są różni w życiu malkontenci,
I w gębie u Wiwła język się wykręci.
Moc ich niepoliczona: żebym cię nie bawił,
Słuchay: gdyby tu iaki bożek się postawił,
Mówiąc; o to już dosyć woli waszey macie,
Ty jurze, zostań chłopem, ty kupcem, żołdacie.
Żywo: szabla na łokieć, cep na dokumenty!
Ty na wieś, ty na roczki, a ty na okręty.
Nie chcą........

Sławna to jest myśl Sokratesa, że gdyby wszystkie niedole od ludzkości nieoddzielne, zniesione zostały na jedno publiczne mieysce, a równy ich podział między ludźmi miał nastąpić, naynieszczęśliwsi dzisiay

w swoiém przekonaniu, woleliby przecie zostać przy własnych dolęgliwościach, które ich już trapią, niżeli się spuszczać na ten rozkład niepewny. Horacyusz w wiérszach tu na początku za godło przywiedzionych, daléy tę myśl posuwa, twierdząc, że gdyby nam pozwolono wymienić umartwienia nasze na cudze, te któreśmy porzucili, jakkolwiek nam uprzykrzone, okazałyby się nam w końcu zawsze znośniéysze od nowo nabytych.

Témi myślami cały zajęty, siedząc w mojém poręczném krześle, usnąłem nieznacznie, gdy rychło zdało mi się, że wyszedł od Jowisza wyrok, aby się wszyscy ludzie uwalniali od frasunków swoich, i znosili je razem do jednéy gromady. Wyznaczoną im została na ten koniec széroka równina. Stanąłem w jéy środku i z niemałą radością widziałem bliźnich moich śpieszących zewsząd, i pozbywających się jeden po drugim ciężaru trosk i utysków swoich, które niezwłócznie urosły w ogromną górę tak wysoką, że się zdała sięgać obłoków.

Kształtna niewiasta, dziwnie lekka i żywa, w całéy téy uroczystości była niezmiernie czynna. Niosła w jednéy dłoni szkło powiększające, a odziana była długą ulotną szatą. Mnóstwo dziwotwornych postaci i straszków wyszytych na niéy snuło się i nastręczało oczom widzów w tysiącznych rozmaitościach co raz to nowych za każdym powiewem wiatru, który ją unosił.

W twarzy miała cóś obłąkanego i gwałtownego: zwała się *Jmaginacya.* Przewodniczyła przychodniom na wyznaczoną równinę, każdemu wprzód pomogłszy usłużnie do upakowania ładunku, i wzięcia go na barki. Bolało mi serce na widok tylu podobnych mi istot uginających się pod ciężarem kłopotów, i utrapień, których tak ogromny stos wzniesiony, wyrażałem przed mojémi oczyma.

Wielu jednakże z pomiędzy przychodzących było, których ładunki nie mało mnie zabawiły. Jeden niósł pod starym haftowanym płaszczem ukryte pudełko, i gdy je wrzucił do gromady, postrzegłem w niém ubóstwo — Drugi zmęczony, zgięty pod ciężarem, ledwo dyszący dźwigał na plecach tłómok, cisnął, i uciekał, a była to jego żona.

Szły też mnogie roje rozkochanych nieszczęśników ojuczonych swemi prawdziwie uciesznémi pakami, pełnémi grotów i płomieni. Dziwna rzecz, wzdychali jak utrapieńcy, powiedziałby kto, że się im serce rozpadnie, pod natłokiem ich cíerpień, ale nie mieli dość mocy do rozstania się z niémi. — Ledwo się zbliżyli do stosu, a uczynili jednę drugą bez-silną probę do zrzucenia ich z siebie, ruszyli smutnie głową i powracali z ciężarem, z którym przyszli — Widać było wiele letnich babinek, co rzucały swe marszczki, młodek pozby-

wających się swéy smaglawości — Wzniósł się spory pagórek nosów rubinowych, ust szérokich, zębów czarnych — Dziwiło mnie prawdziwie, że nayznaczniéysza część góry urosła z ułomności ciała. Postrzegłem jednego zdala, szedł obarczony brzemieniem nierównie, jak mi się zdało, pakowniéyszym, pudło które dźwigał, wysoko się nad barkami wznosiło i wyglądało nad głową, nie mogłem się zrazu domyślić, coby to było, gdy się przybliżył, uyrzałem garb duży, który nosił od urodzenia, a rzucał go teraz z niewymówną pociechą. — Zostawiono, prawda, wiele chorób wszelkiego rodzaju, lubo zaraz na piérwszy rzut oka widać było, że mnogość urojonych przechodziła daleko rzéczywiste. — Nadewszystko mały tłómoczek godzień był zastanowienia; rzucający mienił go zbiorem, naydotkliwszych boleści, naturę ludzką trapiących; była to zaś *śledziona*. — Lecz co mnie naybardziéy zdziwiło, że w całym tym ogromie, ani jednego występku, ani jednego głupstwa ludzkiego niepostrzegłem rzuconego do kupy, tym więcéy, gdy na początku wyobraziłem był sobie, że teraz każdy będzie mógł korzystać ze sposobności, i zbędzie się tu swoich nałogów, namiętności i przesądów. — Zbliżył się okrzyczany Utracyusz, burda, nie wątpiłem, że upakował swoje psoty, ale ściągnąwszy dłoń do tłómoka, który rzucił, zamiast występ-

ków, znalazłem we środku tylko ich pamięć, która go trapiła. Towarzyszył mu nie godny oszust, cisnął o podal od siebie skromność, zamiast co miał rzucić bezczelność.

Kiedy tym sposobem cały rodzay ludzki, pozbywał się swoich dolegliwości zwinna niewiasta, która w tém zdarzeniu tak pilnie się krzątała, ledwie mnie zoczyła spokoynie stojącego widza tego dziwowiska, pośpieszyła ku mnie skwapliwie. Zmieszałem się za jéy zbliżeniem, gdy nagle przymknęła mi do oczu zwierciadło, które niosła; uyrzałem w niém twarz moję; a nie proporcyonalna jéy szérokość i krótkość, wydała mi się tą razą z taką szpetnością i do tyla mnie obraziła, że w piérwszém uniesieniu, rzuciłem ją od siebie jak maskę. Szczęściem stojący obok mnie móy sąsiad, rzucił w teyże chwili twarz swoję, która mu się wydała niezwyczaynie długa. To prawda, że długość jéy była nie pospolita, i bez przesady mówiąc, sama broda równała się całéy mojéy twarzy. — Tym sposobem mieliśmy zaraz na miéyscu łatwość naprawienia u siebie wad, które nam ciążyły; zwłaszcza gdy po złożeniu wszystkich cierpień do gromady, ogłoszoną została wolność wyboru, i zamieniania jednych niedostatków na drugie. — Ale z tego powodu, tyle rzeczy nowych do widzenia mego przybyło, że przymuszony jestem

koniec jego odłożyć do następującego Numeru. *Addisson.*

Prawdziwa umiejętność bardziéy w nas zaszczepia pokorę, aniżeli pychę.

Pokora zwyczáynym jest sławnych ludzi przymiotém. Wyniosłość jeniuszu, do tak wysokiéy doskonałości ich doprowadziła, iż postrzegając niepodobieństwo osiągnienia jéy w zupełności, uznają siebie za słabych i ułomnych. Apelles, jeden ze sławniéyszych Malarzy w starożytności, lubo náydoskonalszym w ów czas był w swéy sztuce; z przekonaniem nawet o swojéy u Narodu reputacyi, jednak zawsze kładł u dołu swych obrazów wyraz *faciebat*, dla pokazania, iż powątpiwał o ich doskonałości. Na trzech tylko z dziéł swoich śmiał położyć wyraz *fecit*, z pomiędzy których obraz Alexandra Wielkiego zdaje się wszystkie inne przewyższać. Z dzisiéyszych zaś Artystów (jeżeli są warci tégo nazwania) zaledwo który odrysuje *obieg* (*) lub wymaluje jakikolwiek *twarzobraz*, (**) do takiégo stopnia swą pychę posuwa; iż śmie krytykować tych, których ani setnéy cząstki doskonałości nie dopiął, czyli, abym prawdę powiedział, ani się mu ona zamarzyła. Nayprawdziwszą

(*) Contour. (**) Portrait.

przyczyną tégo bydź sądzę: niedostatek światłych i biegłych w téy sztuce Artystów, którzyby okazawszy z przekonaniém ich błędy, tudzież pokonawszy ich dziką zawziętość, i uporczywość ciemnégo i nieokrzesanégo umysłu, dowiedli; iż nie są warci owych Malarzów, którzy się zatrudniają bieleniém pokojów.

Spodziewam się, iż żądaniém jest Publiczności, aby przy wzroście innych nauk, i sztuki piękne jakikolwiek tymczasém postęp brały. Czyż podobna, aby Polska mając Rodaków mężnych, walecznych, kochających swą Oyczyznę, doskonalących wszelkie nauki, miałaby i takich, którymby natura odmówiła owéy zbawiennéy chęci i pałania ku sztukom pięknym!! — Niechby się więc znalazł jaki ku nim gorliwy, któryby nam dał znać o istotnych potrzebach do zaprowadzenia w naszym kruju, a okazawszy wynikające z nich pożytki; wlał tégo ducha w Naród, aby z czasém Polska stała się podobną innym Narodóm

---

Do JP. Redaktora Tygodnika Wileńskiego z Bieniun *Roku 1816, dnia 27 Maja v. s.*

W powiecie Oszmiańskim o mil 4 na południe miasta powiatowego Oszmiany, w dole między górami wznoszą się rozwaliny starego zamku *Krewskiego*, siedlisko niegdyś du-

my, próżności, morderstw, męczarni ludzkiéy, dzisiay smutnych ptaków i nieużytecznych gadów; lubię patrzeć na podobne przedmioty, imaginacya zaraz samą starożytnością uchwycona, przy ponuréy cichości takowym miéyscom właściwéy, przy jęku żałośnym i przerywanym ptaków, świstaniu wiatrów przedzierających się przez gruzy porosłe mchem i chwastem, wynosi człowieka ze stanu obecnego, rzuca w przepaść starożytności, i zdaje się wystawiać snujące się cienie bohatyrów, rządzących losami ludów im podległych, lub przywaleni sami dumą, zawiścią, próżnością, jęczących w łańcuhach, albo konających od razów zabóyczéy ręki. Rzucając tę smutną ustroń, zawołałem.... O! ludzie w cóż się wasza wielkość w biegu nie zwrótnym czasu zamienia? *Vanitas vanitatis et omnia vanitas.* Powróciwszy do Bieniun majątku JP. Józefa Karczewskiego Regenta i Adwokata Powiatu Oszmiańskiego, o milę od Krewa na zachód leżącego, przy dosyć licznym jak na miernego szlachcica zbiorze xiążek, znalazłem kronikę Stryikowskiego, z któréy następujące wiadomości o Krewie wyczytałem. „ Gedimin W. X. Litewski dzie-
„ ląc swe Państo między syny, *Olgierdowi*
„ *Krewo* zamek, którego się Xięstwo roz-
„ ciągało aż do Berezyny rzéki ku wschodo-
„ wi słońca przeznaczył, aże Olgierd wszedł
„ w związki z Kniaziem Ruskim Witep-

„ skim, poymując jego Córę jedynaczkę „ *Uliannę*, posiadł więc całe Xięstwo Witepskie, które z Xięstwém Krewskiém „ dziedziczył.„ (f. 407.)

„ Jagiełło, mając kłótnie ze stryjem „ Geystudem poymawszy go zdradziecko „ w Wilnie, téyże nocy łańcuhami okowanego posłał do Krewa, gdzie nad wodą „ do smrodliwéy wieży wrzucony, i mocną „ stażą był osadzony. Piątéy potym nocy, „ tenże Geystud Gedyminowicz Xiąże przesławne, dzielne, mężne, w fortelach i „ w staczaniach bitew przeważne, przemyślne, bo i z więzienia niemieckiego trzykroć poymany w różnych bitwach, trzykroć fortelem uszedł, a czwarty raz z Polskiego więzienia ubiegł, drugi Achilles „ Hektor, Ajax, Ulisses, i Herkules Litewski i Żmudzki, udawion jest na Krewskim zamku w wieży murowanéy z rozkazu Jagiełłowego

„ Podobnież syna Gieystudowego Witołda zesłał był Jagiełło do Krewa, gdzie „ go pod uczciwą, ale bardzo twardą chowano strażą, bo żadnego sługi niemógł „ mieć, tylko żonie jego Xiężnie Annie „ z dwiema Pannami dozwolono było chodzić. Ta gdy dowiedziała się od straży, „ iż takaż śmiérć Witołda męża jéy potkać „ miała jako i Geystuda Oyca, iż już na „ to byli sprawcy od Jagiełły przysłani, „ wnet téyże nocy niemającego brody mę-

„ ża, przebrawszy w odzienie jednéy pan-
„ ny wyprowadziła go z sobą, a panna w o-
„ dzieniu jego w wieży Krewskiéy zosta-
„ ła. (*) Potym spuściwszy się Witołd z blan-
„ ków Krewskiego zamku po powrozie, i
„ dostawszy od życzliwych przyjaciół koni,
„ uciekł do Mazowszy około roku 1300.„

Umyśliłem jeszcze raz obéyrzeć ten interessujący dla nas zabytek, jakoż ze strony północnéy znalazłem małe okienko obwarowane żelazną kratą, słabe tylko wpuszczające światło do ciemnego lochu, w którym zapewne został zamordowany Geystud, a Witołd heroicznym sposobem uwolniony; część północno-wschodnia zamku rozwalona; daje widzieć kręcone wąskie wschody, aż do naywyższego piętra, które nieco jest potynkowane i upiękrzone, był to zapewna pokóy Xiążęcia Krewskiego i Witepskiego Olgierda; ze strony południowéy w podłużny kwadrat wysokie wznoszą się mury dotykające się zamku, a znaki zewnątrz tych murów pokazują, jak wysoko oblewająca je na około woda wznosiła się, okienko z północy w dole samego zamku znaydowało się nad wodą; nie opodal ze wszystkich stron tych rozwalin, nie foremnie wznoszą się góry i pagórki, w dole ze strony północnéy, leży małe miasteczko *Krewo*, zabrudzo-

(*) Zdarzenie podobne jakie się niedawno przytrafiło w Paryżu z Generałem Lavalette.

ne żydami, a na górze za miasteczkiem ze strony północno-wschdniéy nie dokończony murowany parafialny kościół.

Mam honor zostawać...

W..... F..... K.....

BYTNOŚĆ BOGA.

Rzuć człeku oczyma,
Na to co jest w koło ciebie,
I powiedź czyż nima,
Wieczney istoty na niebie?...

Jakże to ślepota
Ciemną zasłoną twóy umysł zakryła?..
Czemu powiadasz, że Boska istota,
Nie jest... nie będzie... i nigdy niebyła?...
O! nędzny prochu! istoto niestała!
Tyż się śmiesz targać na wiecznégo Boga?...
Na twé bluźnierstwo ziemia drży cała....
I czyż cię straszna nie przéymuje trwoga?...
Zadrzyy śmiértelny! padłszy na kolana,
Zadrzyy! zwróć oko na twé przyszłé losy,
Zwróć oko nędzné na wielkiégo Pana,
Którégo tronem, ziemia i niebiosy!...
Zkąd to, co widzisz przed sobą powstało?
To słońce,.. gwiazdy,.. i xiężyc bladawy?...
Wszystko od Boga początek swóy miało!...
On tylko jeden, wszechmocny! łaskawy!...
Ziemi przestrzenié okiém niedścignioné,
Dziwné żywiołów i rośin układy,
Wszystko od Boga wiecznégo stworzoné,
Wszystko dobroci Wszechmocnégo ślady!....
Powiedź mi czému, słońca promienié,

Ciąglé na niebios świécą przestrzenié?...
Czému się ziemia trwalé obraca,
Dzień się przedłuża i skraca?...
Kto tén porządek nadaje?
Kto rzucił gwiazdy na przestrzenié nieba?...
Komu tę władzę przypisać trzeba,
Ze w swym obrócie nic nie ustaje?....
Jstota mądrá!... wieczná!... nieskończona!...
Tworzącá światy!... sama niestworzoná!...
Co nigdy początku nié miała,
Chciała to ździałać,... i udziałała.
Czemuż ty w nędznéy ślepocié,
Nie chcesz przyznawać bytu téy istocie?
Czemu od ciebie moc jéy zaprzeczoná,
I dobroć nieskończoná?...
Weyrzyy nieszczęsny w siebie,
A Bóg, co wiekuje w niebie,
Bóg litościwy!
I dobrotliwy!
Kiedy przed nim upadniesz z pokorą głęboką,
Rzuci na ciebie miłosiérdzia oko!

Platon Sosnowski.

ZAĆMIENIE.

Od skrzepłéy lodem krainy,
Do tych, co się słońcém żarzą,
Wy! narodów liczné gminy,
Przed wszechmocnégo padaycie twarzą.
O to drży nieba posada,
Noc światem włada,
Głos się jakiś wznosi,

Na przestrzenia świata,
Aniół bystrym pędém wzlata,
I wszechmocnégo moc głosi.
Słuchaycie ludy! słuchaycie narody!
Miasta i grody,
Co Bozka moc cała
Zdziałała!
Już słaby promień ciska xiężyc blady,
Tocząc się chyżo po nieba przéstrzeni,
Nie poruszony z swojéy posady,
W tysiąc się wieków nie źmieni.
Lecz.... co za okropność sroga,
Nagle się rozlega?...
Czému bojaźń i trwoga
Lotnym pędem świat przebiega?...
Cóż za widok w oczy bije?...
Co ta znaczy czarná chmura?...
Xiężyc się w cieniu kryje,
Kirém się czarnym odziała natura!....
Straszliwá się wzmacnia burza,
Xiężyc się w cieniu zanurza,
A w téy srogiéy ruinie,
Nurzy się.... kryje.... i ginie....
Zniknął w ciemności.... strach mé siły niszczy...
Padam...., padam.... mdleję...
Lecz!... jakiż to promyk błyszczy,
Błyszczy i światłość sieje,
Wzrasta coraz i świetnieje?...
Ciemná zasłona spada,
Swiatłość z cienia powstaje,
Twarz Xiężyca bladà,
Słaby promień daje....

Cóż to za dziwy?... O! Ty wieczny Boże!
Ty Pan! ja nędzny, istota śmiértelna!...
Twojéy wszechmocnéy prawicy moc dzielnâ,
Co chce udziałać, to udziałać może....
Rzekłeś: niech będzie .. jak chciałeś tak było,
I w biégu wieków nic się nie źmieniło.
Kazałeś słońcu świécić .. błysnęło ..
Kazałeś gasnąć... gasnęło.
Rzekłeś: niech Xiężyc błyszczy,... Xiężyc światło niecił...
Rzekłeś: niech gaśnie... nie świecił...

Platon Sosnowski.

DO PRZYJACIELA.

Wiem iż młodość ten wiek złoty,
Nam stek rozkosz ukazuje;
Gdzie ta wiosna swemi loty,
Tysiąc chęci przedstawuje,
Nie prowadząc nas do Cnoty.
Przyrodzenie ofiaruje
Wszystkie w ten czas nam pieszczoty,
Lecz gdzie mądrość przepisuje,
Nie znaydujem tam ochoty:
Wszak to tylko nam smakuje,
Co nas mami, ale O Ty!
Przyjacielu, niech ci knuje,
Mądrość zawsze te przymioty,
Którym roskosz twa folguje,
Które warte są sromoty.
Jako Maytek z swéy roboty,
Którym morze powoduje,

Dumny iż wie wszystkie zwróty;
Lecz gdy tamto zaszturmuje,
I swe burza spuści groty
Już się w ten czas odwołuje,
Gdy doświadczy jego psoty:
Tak też młodość nas popsuje,
Gdy nie mamy dosyć cnoty.
Przebóg! jakże ten szczęśliwy,
Co unika zgiełku świata,
Przyjacielu móy cnotliwy,
Wiedź iż smutna w nim zapłata;
Ja mu nie szlę hołd fałszywy,
I myśl moja stąd ulata.
Ma spokoyna miła chata,
Przedmiot szczęścia ten prawdziwy,
Któréy burza nie skołata,
Swiata, który swemi dziwy
Uczęstnika w sidła wplata,
Nietknąć co mu uporczywy.
Oddal język ten zdradliwy,
Co niewinna kryje szata
Którym śmiałek niegodziwy
Włóczy sławę swego brata:
Niechay nigdy tam bogata,
Nie omamia cię szkarłata,
Gdzie rozkoszy będziesz chciwy.

Leonard Trojanowski.

Dozwala się drukować z warunkiem przedstawienia do Komitetu sześciu exemplarzów dla mieysc przeznaczonych. Dnia 18 miesiąca Stycznia roku 1817.

G. E. Groddeck Prof. Ord. Czł. K. G.